

THE
GRAVITY
OF US

THE
GRAVITY
OF US

PHIL
STAMPER

TŁUMACZENIE: IWONA WASILEWSKA



Tytuł oryginału: *The Gravity of Us*
Redakcja: Marta Tojza
Korekta: Renata Kuk
Skład i łamanie: Robert Majcher

Text copyright © 2020 by Phil Stamper
Jacket illustration © 2020 by Patrick Leger
Jacket design by Danielle Ceccolini

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-081-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Abedik
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4,
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Dla Jonathana.
Pomagasz mi mocno stąpać po ziemi
i wzbijać się w przestworza.*



ROZDZIAŁ 1

W domu jestem niewidzialny. W szkole jestem dziwakiem. Ale dla reszty świata jestem dziennikarzem.

Czuję to specyficzne coś – ssanie w żołądku, przyspieszony oddech – ilekroć składam nową historię, a potem odpalam aplikację FlashFame, by poprowadzić transmisję na żywo dla moich czterystu trzydziestu pięciu tysięcy obserwatorów.

Kiedy wysiadam z pociągu linii Q na Times Square, a potem przepycham się do wyjścia, mam chwilę, by zebrać się do kupy. Biorę głęboki wdech i przywołuję na usta uśmiech. Trzymając przed sobą telefon, przebiegam myślami kolejne punkty mojej cotygodniowej relacji z życia Nowego Jorku. O czym opowiedzieć. Co pokazać.

– Heja! – wykrzykuję i uśmiecham się krzywo, gdy ludzie za moimi plecami umykają przed obiektywem. – Jestem Cal, a to moje podsumowanie tygodnia. Nowy Jork nie zapewnił nam specjalnych atrakcji. Ot, kilka morderstw i alertów Amber, nic

nadzwyczajnego w skali tego miasta. Za to na arenie krajowej zainteresowanie budzi zwłaszcza jedna sprawa: poszukiwania dwudziestego i zarazem ostatniego astronauty do projektu Orfeusz.

W przedniej kamerze widzę, jak miasto kipi za moimi plecami ogromem billboardów, sklepów, taksówek i rowerów. Staram się nie pokazywać po sobie zdenerwowania. Upominam się w myślach, że nawet największe sławy dziennikarstwa chcą dzielić się z ludźmi informacjami, których ci pożądamy. A po komentarzach wiem przecież, czego w tej chwili najbardziej pragną moi odbiorcy. Nie jestem tym zdziwiony, w końcu wszyscy mówią tylko o jednym. Już niebawem sześć osób stanie na powierzchni Marsa. Projekt wzbudza zainteresowanie, jakim loty kosmiczne nie cieszyły się od lat.

– Brakujący astronauta zostanie wybrany w ciągu kilku najbliższych tygodni, a później dołączy do zebranych w Houston. Astronaucci będą konkurować ze sobą o miejsce na Orfeuszu V oraz o udział w pierwszym załogowym locie na Czerwoną Planetę.

Jeśli za ten występ nie dostanę nagrody Emmy, to chyba szlag mnie trafi. Zdarza się wam czasem mówić, że jesteście czymś zachwyceni, gdy tak naprawdę macie ochotę serdecznie się porzygać? To właśnie ja i ta marsjańska misja. Jakże mnie wkurza cały ten cyrk.

Niestety, histeria towarzysząca projektowi jest tak wielka, że można byłoby pomyśleć, że to nie lot w kosmos, a kolejny sezon *Żon Beverly Hills*. No więc powiedzmy, że mam dylemat. Czy chcę mówić ludziom o rzeczach, które ich interesują? Tak. Czy chcę zdobyć kolejnych obserwatorów i widzów? Również tak.

– Reprezentant kanału StarWatch mówił dzisiaj o poszukiwaniach – ciągnę. – Niestety, nadal nie dowiedzieliśmy się niczego nowego o kandydatach.

Po krótkim i obowiązkowym raporcie z działalności NASA wracam do spraw Nowego Jorku i moich osobistych rekomendacji. Opisuję najciekawsze atrakcje weekendu, imprezy, targi zdrowej żywności i wszystko inne, co można uznać za interesujące. Z każdą minutą liczba oglądających mnie osób rośnie.

Zajmowałem się już różnymi historiami. Lokalnymi, ogólnokrajowymi, światowymi. Relacjonowałem całe wybory w środku kadencji, łączyłem na spotkania z kandydatami do Senatu i Izby Reprezentantów z Nowego Jorku, New Jersey i Connecticut. Nawet z tymi co bardziej odklejonymi, którzy uważają, że od używania mikrofalówki można dostać raka.

Dawniej czułem bezsilność, ilekroć włączałem apkę z najnowszymi wiadomościami, jednak gdy sam zostałem dziennikarzem, poczułem, że mogę coś zmienić – i to spodobało się ludziom.

Kiedy kablówka karmiła widzów całymi hałdami niemającego wiele wspólnego z prawdą, sensacyjnego gówna – w stylu: *Czy Trump jest homofobem? Zapytaliśmy tego homofobicznego wielbiciela Trumpa, co o tym sądzi!* – ja dawałem ludziom prawdziwe informacje. Surowe i nieprzetworzone.

Jak wtedy, gdy kandydat republikanów na senatora znikł nagle z radaru i odmówił udziału w debatach czy choćby kontaktu z prasą, co nie przeszkodziło mu atakować swoich oponentów na Twitterze. Pewnego dnia widziano go w mieście, przysnąłem więc ze szkoły i zacząłem się przed knajpą, w której siedział.

Zacząłem z przyczajki, z komórką w kieszeni na piersi. Zadałem mu kilka niezbyt trudnych pytań. Odpowiadał chętnie, póki nie nawiązałem do ciężących na nim oskarżeń o defraudację i molestowanie seksualne, a także do ostatnich przetasowań wśród jego ludzi, które mogły mieć związek z jednym albo drugim.

W końcu ruszyłem za jego limuzyną w górę Piątej Alei, gdzie był uprzejmy skłóc mnie oraz pięćdziesiąt tysięcy internautów oglądających relację na żywo.

Nie udało mu się wygrać wyborów.

Obecnie bardzo dokładnie planuję filmy na cały tydzień. Jednego dnia zajmuję się wiadomościami z kraju, drugiego bieżącymi problemami nastolatków, które podlewam lekko sosem przeżyć osobistych. No i mam moje relacje z Nowego Jorku. I choć akurat te streamy nie cieszą się największą popularnością, są moimi ulubionymi. Tylko ja, miasto i pierdyliard mieszkańców oraz turystów w tle.

W kamerze widzę, jak brutalnie wilgotne nowojorskie powietrze obchodzi się z moją staranną fryzurą. Jeśli szybko się nie uwinę, zacznę przypominać nawiedzonego pudła.

– Cóż, chyba jednak było trochę do powiedzenia, bo – przełączam na tylną kamerę i ukazuję widzom panoramiczne ujęcie otoczenia: wysokie budynki po obydwu stronach ulicy stają się mieszaniną betonu i cegły – jesteśmy już na skrzyżowaniu Trzydziestej Ósmej i Broadwayu.

Wiadomości z Nowego Jorku zaczynam zazwyczaj w północnej części Times Square. Najczęściej idę po prostu Broadwayem, dopóki nie skończą mi się wiadomości albo nie ochrypnę.

Jednak nawet kiedy głos odmawia mi posłuszeństwa, dbam o to, by pokazać widzom, jak wygląda prawdziwe życie w tym mieście. Na przykład kupuję na ulicy napój. Oczywiście po utargowaniu jego ceny do sensownej wysokości.

– I to by było tyle. Obserwujcie na bieżąco moje relacje, bo zamierzam trochę pobuszować po ulicach Lower East Side. – Uśmiecham się krzywo i kończę transmisję, po czym, zrzuciwszy z siebie skórę dziennikarza, biorę głęboki oddech.

Wsiadam w linię F na Trzydziestej Czwartej, bo tak najłatwiej dostać mi się na Lower East Side, skąd pochodzę. Aura miasta przygasa, gdy turyści blokują drzwi pociągu, a klimatyzacja wydycha ciepławe powietrze wprost na moją szyję; zanika z każdym trzypięciominutowym postojem na kolejnej stacji.

Pod moim filmem, który obejrzało około ośmiu tysięcy osób, pojawiają się kolejne komentarze. I jakimś cudem FlashFame doskonale wie, który z nich podświetlić. Ten, który zaboli najmocniej.

JRod64 (Jeremy Rodriguez): Kocham twoją robotę ♥

Ile czasu potrzeba, by wybić sobie z głowy kogoś, z kim nawet tak do końca na serio nie chodziłeś? Wkurzam się. Ach, ta ironia kochania. Kochania mojej pracy, gdy kolega nie potrafił nawet zaangażować się w lubienie mnie jako człowieka. Fantastycznie.

Gniew wyparowuje ze mnie, gdy idę ulicami Lower East Side. Wieżowce śródmieścia ustąpiły miejsca niskim domom z cegły, z doczepionymi do nich schodami przeciwpożarowymi.

Czerwonawe budynki górują nad wszystkim, od opuszczonych sklepów po modne wegańskie piekarnie. Upewniam się, że trafiłem pod właściwy adres, po czym schodzę schodkami do ciemnego, pozbawionego okien sklepu.

– Jezu, Calvin, wreszcie – wzdycha Deb. Zawsze zwraca się do mnie pełnym imieniem. Właściwie do wszystkich tak się zwraca. Tylko wobec siebie używa formy zdrobniałej, a to dlatego, że, jak twierdzi, Deborah to imię dla babci. – Siedzę tu, od kiedy się rozłączyłeś, a właściciel tego sklepu naprawdę, ale to naprawdę lubi gadać o kasetach. Nie miałam serca mu wyjaśnić, że jestem tylko czyjąś skrzydłową, ale chyba mnie przejrzał.

– Zapłaciłbym niezłą kasę, żeby zobaczyć, jak udajesz fankę kaset. – Na samą myśl parskam śmiechem.

– To nie było trudne. Po prostu trułam jak ty zazwyczaj. Och, dźwięk jest o wiele gładszy, bla, bla, bla. I szło mi niezłe, póki koleś nie zapytał mnie o rocznik i model mojego magnetofonu.

Przeglądam asortyment, a Deb ze zniecierpliwieniem zagląda mi przez ramię. Obiecałem jej, że jeśli zgodzi się iść ze mną do sklepu z kasetami, kupię jej pączka, albo i tuzin pączków, w wegańskiej cukierni naprzeciwko. Niestety, nic nie wpada mi w oko.

Z kosza z fantami za dolara wygrzebuję kilka taśm, kierując się wyłącznie ich okładkami. Wybieram muzyków z długimi, typowymi dla lat osiemdziesiątych włosami oraz ścieżki dźwiękowe filmów w obwolutach stylizowanych na stare kasety VHS. I żeby było śmieszniej, płacę za moje starocie iPhone'em.

– Wreszcie! – wzdycha Deb, wybiegając ze sklepu. – To miejsce jest dziwne. I ty jesteś dziwny.

– Zdaję sobie sprawę i z jednego, i z drugiego. Wielkie dzięki. Lower East Side nie różni się za bardzo od naszego sąsiedztwa na Brooklynie. Okej, może trochę tu więcej syfu, a pod nogami płacze się mniej dzieciaków, dostrzegam jednak podobieństwa.

– Uwielbiam tę dzielnicę – oznajmia Deb.

– Taa... Spoko miejsce dla sklepu z kasetami – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Słyszałem, że mają tu otworzyć Trader Joe's.

– Ja pierdzielę – mamrocze Deb. – Oczywiście. Wszędzie muszą się wepchnąć.

Wchodzimy do maleńkiej cukierni z pięcioma stołkami. Za ladą, niemal przytuleni do siebie, pracują dwaj piekarze. Niejako w ich imieniu zaczynam czuć się nieco klaustrofobicznie. Kiedy jednak rozglądam się wokoło, dostrzegam w tym miejscu pewną swojskość. Na ścianach wiszą ogłoszenia. Ktoś prowadzi zajęcia jogi, ktoś opiekuje się dzieckiem, jeszcze ktoś uczy gry na pianinie. Jest także oferta klubu pisarskiego. Po chwili zauważam również protestacyjne wlepki, rozmaite flagi LGBTQ i stare naklejki z minionych wyborów.

Nowy Jork zna sposoby, byś poczuł się jak u siebie, nieważne, gdzie aktualnie się znajdujesz. Wystarczy chwilę się pokręcić, a jacyś ludzie na pewno zaraz uznają cię za swojego.

– A jak dokładnie robicie krem cytrynowy? – dopytuje zafascynowana Deb. Dociera do mnie, że przestałem zwracać na nią uwagę, a przecież ta chwila należy właśnie do niej. Piekarz wcale nie musi odpowiadać. Deb i tak nie da mu dojść do słowa. – Co za cudowne miejsce. Chcę tuzin pączków. Ale... Ale

każdy w innym smaku. Każdy. Czy to za wiele? – pyta, choć nie sposób stwierdzić kogo.

Jestem wegetarianinem, ale Deb to stuprocentowa wegan-ka. I właśnie trafiła do nieba. Wiem, że weganie mają kiepską reputację, ale Deb mocno stąpa po ziemi. Jasne, kocha weganizm, ale nie traktuje go jak jakiegoś rodzaju kultu.

Oczywiście i tak muszę z nią chodzić do każdej nowo otwartej wegańskiej knajpy, cukierni czy budy z żarciem, nie wolno mi również przegapić żadnego festynu, ale... Nie, nie narzekam.

– Ej, podzielisz się ze mną, nie? – zagajam.

– Słodki Jezu w pomidorach – mamrocze, wgrzyłszy się w pączka. – Jeśli wszystkie są tak dobre, jak ten z kremem cytrynowym, to nie ma mowy.

Spacerkiem zmierzamy powoli w kierunku Brooklynu, ale nie kierujemy się nigdzie konkretnie. Jesteśmy za daleko, by dojść do domu na piechotę, lecz dzień jest zaskakująco ładny, a mnie się nie spieszy. Wiem, że Deb również.

– Nie powinieneś stawiać mi tych pączków – odzywa się Deb.
– Mam przecież robotę. Skończyły się czasy, kiedy musiałeś ratować mnie z opresji.

Krew nabiega mi do twarzy.

– Wiem, nie o to chodziło. Zostawiłem cię samą i bezbronną w tym sklepiku z kasetami. Musiałaś udawać kogoś, kim nie jesteś. Kiedy pomyślę o cierpieniu, na jakie cię skazałem... Pączki to kiepskie zadośćuczynienie, ale choć tyle mogę zrobić.

Nie mówię, choć przecież wiem, że oszczędza każdego centa. Deb pracuje ciężiej niż ktokolwiek, kogo znam. Gdybym mógł jakoś naprawić jej życie, ani chwili bym się nie zastanawiał. Na

razie jednak jedyne, co mogę zrobić, to zafundować jej tonę cukru.

– Budynek One World Trade – zauważam. – Zaraz zaroi się od turystów. Zrobię kilka fotek do relacji na Flashu i złapiemy metro.

Nie ma słońca, ale płynące nisko chmury rozdzielają się na dwoje, przecinane przez smukły, srebrzysty wieżowiec. Mamy idealne nowojorskie popołudnie, kiedy jednak myślę o powrocie do domu, robi mi się ciężko na żołądku. Wsiadamy do metra, obydwój z pseudowesołymi grymasami na twarzach. Wiem, że myślimy o tym samym. O tym, że nasi rodzice prawdopodobnie postarają się uprzykrzyć nam wieczór i noc.

* * *

Docieramy na Brooklyn w rekordowo krótkim czasie. Wychodzę z metra ze ściśniętym z niepokoju gardłem. Deb zapewne czuje się podobnie. Szczerze powiedziawszy, nie miałbym nic przeciwko, by jeszcze trochę odwlec powrót do domu, a wraz z nim niezręczne rozmowy i niekończące się awantury. Nie żeby kłótnie w jakikolwiek sposób dotyczyły mnie. Bynajmniej. A jednak jestem ich niemym uczestnikiem. Po prostu są.

I niszczą naszą rodzinę.

Rozstaję się z Deb na trzecim piętrze budynku, w którym mieszkamy. Ramiona sztywnieją mi ze stresu, gdy przeskakuję szybko po dwa schody. Nim zbliżę się do drzwi z błyszczącą 11, do moich uszu docierają wrzaski.

Nie zawsze tak było.

Wkładam klucz do zamka i przekręcam go z ciężkim westchnieniem.

Natychmiast ulatują ze mnie ostatnie drobiny radości. Trzaskam drzwiami, by zaznaczyć, że wróciłem, to jednak w żaden sposób nie poprawia sytuacji ani nie powstrzymuje rodziców. Chciałbym, żeby moja obecność miała jakiegokolwiek znaczenie. Chciałbym... Sam nie wiem. Nie czuć się tak bardzo bezradnym, gdy zachowują się w ten sposób? Próbuję ucieczki w telefon, jednak moi obserwatorzy znów zalewają mnie pytaniami. Pytaniami o astronautów.

Przeglądam je, skrzywiony.

kindil0o (Chelsea Kim): Hej, jestem fanką. Tylko mi się wydaje, czy przestałeś mówić o astronautach? Kiedyś uwielbiałam twoje streamy i nadal je kocham, ale wolalabym, żeby było jak kiedyś. Lecimy na tego Marsa czy nie? 30 sekund o misji? Tylko tyle??

Wyciszam powiadomienia. Moi fani zauważyli, jak mało czasu poświęcam NASA; jak unikam patrzenia w kamerę, gdy mówię o poszukiwaniach ostatniego członka marsjańskiej ekipy. Oczywiście, że zauważyli.

I chcą wiedzieć dlaczego. A ja mam powód przed oczami.

Mój ojciec dopiero wrócił z Houston, z ostatniego etapu rekrutacji NASA.

Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, nigdy nie ucieknę od tej misji.